20. Grudnia **Nr. 8.** 1867 roku.

Wychodzi co piątku, z dodatkiem muzykaljów, mód, wzorów i krojów.
Cena do końca b. r. . . — złr. 50 ct.
z dodatkiem . . . . . 1 „ — „
za pięć miesięcy . . . 1 „ 50 „
z dodatkiem . . . . . 3 „ — „
rocznie z przesyłką . . 4 „ 60 „
z dodatkiem . . . . . 8 „ 60 „

NOWINY

pismo tygodniowe
z dodatkiem muzykaljów i mód.

Listy *franco* przysyłać należy: „Do wydawnictwa „Nowin“ we Lwowie w drukarni Kornela Pillera.
Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.
Ekspedycja i prenumerata miejscowa w Administracji „Gazety Narodowej.“

Moskal.

Powieść z ostatnich czasów

nie Bolesławity.

(Ciąg dalszy).

Na wiadomość o powieszeniu piśmowoditiela wytrzeźwiał sprawnik.

Pierwsze jego pytanie było: czy syn jest w domu?

— Jest — odpowiedział Wańka.

Uspokojony co do losu syna, sprawnik długo chodził po pokoju, bijąc się z myślami: jakie stanowisko ma zająć w obec ruchu, który tak groźnie zaczął się manifestować?

Że sprawnik nie pojmował czego chcą polacy, i powstanie odnosił na karb szalonej krwi płynącej w żyłach tego narodu, która gra, aż mu jej nie upuszczą — wypływało to z natury moskala; ale co sprawnika dziwiło niepomiernie, to siła powstańców, z garstką których nie mógł sobie dać rady rząd, chociaż wezwał włościan do pomocy.

— *Nieczysty* pomaga buntownikom! — zawyrokował sprawnik, i naprawdę zadrżał o bezpieczeństwo własne. Powiesili piśmowoditiela, mogą i sprawnika obwiesić, wszak oba jednakowej maści!... I jak natoż przypomiał sobie Makar Fiodorowicz słowa Barskiego, któremi żegnał go wywyżony na Kaukaz...

Sprawnik bardziej jeszcze zposępniał...

— Może i dobrze zrobił Misza — myślał Makar Fiodorowicz — że trzymał z grafem. *Czewo dobrawo* (co do czego) w razie tarapaty, on mnie wyratuje... Ale co on robi? co on robi!... Mnie i siebie zgubi, zadając się z *miatieżnikami*!... To wielkie szczęście, że tego łotra powiesili, bo już nikt nie wie o sprawkach Miszy. *Syn moj, syn moj!* ty mnie i siebie zgubisz!

Jakby na wezwanie ojcowskie, Misza wszedł do pokoju.

Sprawnik rzucił się ku niemu, porwał w objęcia, i ze łzami do piersi przycisnął.

— Drogi ojcze! — rzekł Michał, rozczulony przyjęciem ojcowskiem — mam do ciebie wielką prośbę.

— *Prikazywaj!* (roskaż) Ja stary *dureń* tak ciebie kocham, że wszystko zrobię co zechcesz; ty istny portret mojej *pokojnej*...

— Wiesz już ojcze — mówił Michał — że twój piśmowoditiel napadł na spokojny dworek Barskich, zrabował go...

— Za toż go *palaki* przewietrzyli na gałęzi. *Padiełom maszenniku!* (dobrze tak szelmie). On miał sumienie brudniejsze od mojej podeszwy.

— Hrabiego aresztowano...

— To jedno co dobrze zrobił — przerwał sprawnik. — Mam za to podziękę gubernatora. Chcesz? zaraz ci pokażę...

— Nie, ojcze — smutnie odpowiedział Michał — nie poto tu przyszedłem. Proszę cię o opiekę nad sierotą, która pozostała samą, bez nikogo...

— Może nad tą małą, siostrą buntownika?

— Tak, ojcze. Ona jest tu. W twojem imieniu zapewniłem jej bezpieczeństwo...

— Siostra *miatieżnika*... — głośno myślał sprawnik, chodząc po pokoju. — W moim domu... Ale sierota, sama jedna... Ha! niech zostanie. Już ja biorę na siebie odpowiedzialność przed *naczalstwem*...

— Ojcze, ojcze mój! — zawołał Michał, rękę sprawnika okrywając pocałunkami. — Całą wieczność błogosławić ci nie przestanę! — Idę, uspokoję jej trwogę; spieszę pochwalić się przed nią, że mam ojca, ojca najlepszego...

— Czekaj, i ja z tobą pójdę. Jeszcze tej małej nie widziałem; a Iwan Iwanowicz mówił mi, że ją kochasz... Ty mój syn, ja chce ją obaczyć.

Sprawnik i Michał zastali Różę zatopioną w gorącej do Boga modlitwie.

Makar Fiodorowicz w milczeniu patrzył chwilę na modlącą się, i wyszedł, ciągnąc syna za sobą.

— Misza! — rzekł — *naczalstwo* źle na to patrzy; ale ja ci pozwalam.. *Pokojna* była także polką. Ta dziewczyna będzie dla ciebie taką, jak moja była dla mnie. Ja *źwier*, (zwierzę) a przy tamtej poznał, że jestem człowiekiem, i nauczył się kochać ciebie... Bierz ją za żonę, ja błogosławię.

Michał westchnął, i ukradkiem otarł łzę z oka.

Przez trzy dni nie wiedziano w powiecie, jaki los spotkał oddział Barskiego, który z pierwszej potyczki zdołał się uchronić cofnięciem się w lasy; niepodobna jednak było przypuścić, że będzie świetniejszym, aniželi oddziałów innych. Nie bagnety moskiewskie były strasznymi dla powstańców — ich zgubą była nieprzychylność bezbronnego ludu, który domagał się śmierci buntowników, walczących za powrócenie pańszczyzny. (Tak policja i popi wytłumaczyli ludowi powtarzane przez polaków w śpiewach kościelnych słowo: ›ojczyzna.‹) Prędzej czy później i oddział Barskiego będzie musiał złożyć broń przed ludem.

Różę nie odstępowały najsmutniejsze przeczucia; Michał pocieszał ją; ale i sam nie miał wiary w pomyślny obrót sprawy, która, nie znalazłszy w ludzie odgłosu, musiała upaść jako pozbawiona gruntu.

Dmytro dnie i noce przesiadywał w smutku, dumając nad losem ukochanych: panicza i panny. Tamten poszedł, i zapewne zginie... tu została sierota, bez dachu.

Ku schyłkowi trzeciego dnia od przybycia Róży w dom sprawnika, gdy całe towarzystwo siedziało smutne przy herbacie, nie wyjmując sprawnika, który częściej teraz zdradzał w sobie szlachetne uczucia drzemiące w głębi jego duszy — wpadł do pokoju, szczęściem promienny kapitan Kutow, i jeszcze za progiem wykrzyknął:

— *Pabieda!* (zwycięztwo) Barski zabity, młody graf w niewoli!...

Na tę wieść Róża z jękiem upadła bez zmysłów.

Michał rzucił się na jej ratunek.

Sprawnik, pomagając synowi, przeklinał kapitana, niemogącego pojąć, z jakich powodów pomyślna wiadomość tak przykre wrażenie wywarła na towarzystwie sprawnika; a widząc, że zajęci trzeźwieniem omdlałej nie zwracają na niego uwagi, i nawet kieliszkiem *spirtu* nie częstują, zaklął po moskiewsku, i trzasnął drzwiami, wychodząc gniewny z domu sprawnika. Nie dalej też jak na odwachu ogłosił naczelnika policji buntowszczykiem, który go złajał za udzielenie wiadomości o klęsce Polaków.

Niespodziewana wieść o śmierci brata i niewoli Adama była zbyt wielkim ciosem dla Róży, by go przenieść mogło dziewczę i tak już cierpiące pod wrażeniem minionych wydarzeń; z słabej z początku goraczki wywiązała się maligna, i lekarz zwątpił o życiu chorej.

Ale niebo snać chowało sierotę do większych jeszcze cierpień.

Po tygodniu Róża zaczęła odzyskiwać przytomność; poznawała Dmytra i Michała... ale przypomnienie utraty najdroższych istot znów pogorszało jej zdrowie, i pomiędzy życiem a śmiercią chora przebyła dni kilkanaście. Nakoniec młode siły przemogły chorobę, i dziewczę zaczęło przychodzić do zdrowia.

Michał i Dmytro przez cały ten czas, nie odstępowali cierpiącej; a co się w tych duszach działo — Bóg wiedział tylko... Jakaż radość napełniła czyste ich serca, gdy lekarz oświadczył, że niebezpieczeństwo stanowczo minęło, i najdalej za tydzień chora będzie mogła wstać z łóżka!

Przy Róży, w towarzystwie syna, i sprawnik wyszlachetniał. Od dwóch tygodni nikogo nie skrzywdził, nie obdarł nikogo — urzędowa czynność jego straciła na sprężystości. Zamiast potępiać, Makar Fiodorowicz parę razy usprawiedliwił obwinionych i z więzienia wypuścił. Policja i wojskowość zaczęły sarkać na sprawnika, donosy posypały się do gubernatora.

Sprawnik wiedział o tem; ale zaczynał lekceważyć sobie niełaskę zwierzchności, nad jej pochwałę przenosząc łzy syna, któremi dziękował ojcu za każden czyn szlachetny; *pokojna* śniła mu się często, dziękując za dobry uczynek; syn otaczał ojca szacunkiem; *mała poleczka*, jak nazywał Różę uśmiechała się doń tak słodko... nawet Dmytro przywiązał się do sprawnika, który teraz dopiero zakosztował słodyczy poczciwego życia.

Makar Fiodorowicz uśmiechał się dobrotliwie, przyciskając syna do piersi, i rozrzewniony mówił, patrząc na Różę:

— *Wot* i zrobili ze mnie, co chcieli! Ja i sam siebie teraz nie poznaję. Dobrze mi tak z wami, choć się *naczalstwo* krzywi. — Bóg z nimi! żyłem dla nich tyle, pożyję lat kilka dla siebie i dla was. Ty *charoszeńkaja* — dodał, zwracając się do Róży — nie patrz tak łzawo. Śmierć wzięła ci brata, *nu tak my* tobie damy innego. *Dieti moi!* daj wam Bóg szczęście, że ja przy was odżył, niby przy *pokojnej*...

Młodość i silna wola powrotu do zdrowia, bardziej niż lekarstwa pomogły dziewczynie. Róża z dniem każdym nabierała siły; a sił tych wiele jej potrzeba, by udać się w drogę, być przy Adamie, bronić go, albo los jego podzielić, choćby najokropniejszy.

Z zamiarem wyjazdu nie zwierzyła się Róża przed przyjaciołmi, z obawy, by jej nie odradzano, nie stawiano przeszkód... Oni nie czują tak silnie potrzeby obaczenia go, oddechania powietrzem, które go żywi!... I dziewczę gorąco błagało Boga, by jej siły wrócił, dał skrzydła, ażeby znaleźć się mogła przy nim, przy nim!...

Pewnego dnia, Róża ocknąwszy się ze snu który jej siły przywracał, usłyszała w sąsiednim pokoju cichą rozmowę Michała z ojcem. Zwykły słuch nie wystarczyłby do pochwycenia jej wątku; ale przeczucie jakieś tknęło chorą; duszą i sercem wsłuchała się w cichą rozmowę, i usłyszała wieść straszną: biuletyn wojskowy donosił, że Adam został skazany na rozstrzelanie. Wyrok oddano gubernatorowi dla konfirmacji.

Taka wiadomość z grobu poruszyć może... Chorej wróciła potrzebne siły; za chwilę Michał i sprawnik, z wielkiem zdziwieniem ujrzeli ją, wchodzącą do pokoju.

Szła pewnym krokiem, z twarzą bladą śmiertelnie, i z dziwnym ogniem w oczach.

— Wiem o wszystkiem — rzekła spokojnie — i natychmiast, natychmiast! zawieźcie mię do niego... On bezemnie nie umrze; ja czuję to, że się obaczymy przed śmiercią. Jeżeli w was iskra jest człowieczeństwa o! nie odmówcie mej prośbie. — Michale! panie! — i usunęła się przed nimi na kolana.

Sprawnik chciał coś mówić; przerwał mu Michał:

— Ojcze, jedziemy natychmiast. Pomyśl o rzeczach dla Róży, ja idę po konie pocztowe.

Nieme spojrzenie Róży starczyło za podziękę; a gdy Michał wyszedł, dziewczę szepnęło:

— Szlachetny!

Uległszy sile wyższych uczuć, sprawnik w milczeniu pobłogosławił syna i Różę, uścisnął Dmytra, i po ich odjeździe, raz pierwszy w życiu uczuł całą gorycz samotnego życia.

Konie pocztowe szybko niosły podróżnych do Kijowa.

(D. n.)

WIECZÓR JESIENNY.

Wkoło kraina legend i uroku
Olśniona cichą, jesienną pogodą,
Roztacza wdzięki — a chociaż w pomroku
Jesiennym skryta, kraśniejsza urodą!
Gra świateł wstaje w słonecznym obłoku,
Muszki w promieniu wieczornym tan wiodą —
Po mgławe krańce jak oko zasięga
Snuje się wiosek, borów, łanów wstęga.

Flora skromniejsza już jesiennej szaty;
Ale tem cichem ubóstwem swem cudna!
Spłowiała zieleń, błękit i szkarłaty,
Modrość już jakaś mętna, białość brudna —
Wytrwały tylko astry i bławaty,
Lub zabłąkana gdzieś róża odludna
Przekwita cicho — gdzie niegdzie samotna
Czołem na bagnie strzeli — lilja błotna.

I wszystko wchodzi już w wieczorną głuszę:
Spokojne życie łanu i ugoru,
Gdzie niegdzie ognie świecą się pastusze
Odbite ciemnem tłem sennego boru —
Trzoda zaryczy smętnie po posusze,
Jak gdyby echo zaklętego dworu
Zadzwoni piosnka pasterskiej piszczałki,
Lub tęskna piosnka marzącej Rusałki.

Już pociemniało... Słońce na-pół senne,
Omdlałe skronie zda się na wezgłowie
Chylić błękitów — już za górki, wienne
Girlandą leśni, uszło... Pastuszkowie
Smętniejsi jeszcze w pieśni, a jesienne
Wiatry wciąż szumią jakieś skargi wdowie
Nad ziemią z krasy obraną i z płodu,
Spoczywającą po pracy porodu.

Ziemia odejściem słońca zasmucona,
Podobna czuciem do młodej kobiety,
Co po rozstaniu z mężem, ołzawiona,
Odmienia także barwę toalety
W miarę tęsknoty: — zrazu, rozłączona
Ubiera lilę, — z czasem fiolety,
Aż najsmętniejsza, świetlane ozdoby
Zrzuca — i szatę przywdziewa żałoby...

Teraz słoneczna pani ma lilową
Szatę: — na rzęsach stoją dyamenty
Ros, co źwierciedlą zorzę purpurową,
I są jak kryształ serca, na blask wzięty...
Zorze spędziły błękitność perłową
Dnia — w miast niej, z przędzy tęcz i gwiazd rozpięty
Klosz firmamentu na mgławej przeźroczy
Stanął — i spojrzał na świat, jak snów oczy...

Tu ucichł nagle dzienny gwar — ptaszyna
Zadzwoni ledwie, lub liść zaszeleści
W harmonji ciszy... Wszystek twór się wspina
W zorzę, na skrzydłach dzwonka, co hymn wieści
Nocny — i wszystkie serca w mir nagina...
Anioł spokoju już się z światem pieści
I kwiat ziemskiego nabiera uczucia,
Aby go wdzierzgać do zorzy osnucia.

Cisza ta w duchu ludzkim i przyrodzie
Wstała, bo twory niesione w zachwycie
Anielskiej twarzy niebios — legły w zgodzie!
A z ciszy tej jest hymn za byt i życie
Istot, na ziemi co żyją i w wodzie,
I bujających na dniu po błękicie:
Bo światy, chociaż codziennie przytomne
Tych blasków — widzą je zawsze ogromne!

B. K.

WIGILJA
Bożego narodzenia
w roku 1862.

I.

Zawieja. Śnieg wielkiemi płatami zalepia oczy i zbija koni z drogi. Woźnica klnie w duchu, a czasem i słowem zgrzeszy, choć zbliża się święto... bo też droga znikła, a może gdzie pod wsią wypadnie noc przepędzić, i tylko w myśli powitać opłatek i słodką k u t i ę.

— A co panie zrobimy? — zwrócił się wreszcie do siedzącego w saniach mężczyzny. — Zawieja, niedopuść Boże!

— Zdaje mi się — odpowiedział zapytany — że słyszę szczekanie psów na prawo; musimy być pod samą wioską. Żywiej! żywiej! tam czekają.

— Ba! że czekają; ale jak dojechać. — Wjo-ha! na bożą wolę...

Mężczyzna niespokojnie wyjrzał z futrzanego kołnierza: świat zginął w śniegu; ale t a m c z e k a j ą... on tam być musi!...

— Ha! to już chyba nie przyjedzie — rzekł dobrze już szpakowaty mężczyzna do nie młodej kobiety. — Może byśmy Maniu zaczęli wieczerzę?

— Zatrzymajmy się chwilkę — odpowiedziała żona. — Taka zawieja... Może jest blisko...

W tej chwili weszła do pokoju siedmnastoletnia dziewczyna, snać córka gospodarzy domu.

Wysłany wzrok uprzedził niespokojne pytanie:

— Jeszcze nie przyjechał?...

— Nie poradzimy na to; wypadnie samym jeść wieczerzę — rzekł mężczyzna.

— Nie tateczku! — przypadło doń dziewczę. — On nadjedzie, przyjedzie koniecznie...

Twarz mężczyzny rozpromieniła się szczęściem.

— Kiedy masz taką wiarę — rzekł ucałowawszy córkę — to wyszlę z pochodniami na drogę...

— O tak, tak tateczku! — poskoczyło dziewczę wesoło. — Przecież to być nie może, byśmy sami tu byli — bez niego... — dodała smutniej, tuląc się do piersi matczynej...

Komu serce nie uderzy w piersi na widok przygotowań do wigilji.

Obszerny, ogniem na kominie oświecony pokój, długi stół na środku, siano przykryte śnieżnym obrusem, w kącie wielki snop zboża...

Ziemio ojczysta! ileż piękna jest w prostych twoich zwyczajach!

W pokoju zebrani wszyscy: od pana do najlichszego sługi; gospodarz wziął opłatek i łamie go ze wszystkimi. Ileż zawiści, ile niechęci ginie przy słowie: ›Szczęść Boże!‹ Jakże potężnie związuje się łańcuch jedności w tej uroczystej chwili!... ile z niej wspomnień pozostaje w życiu!...

I teraz zbliżają się święta. Na kogoż czekają rodzice z opłatkiem? komu życzenia mają złożyć druhy?... Innym to przeznaczone, innym!... dla mnie — tylko wspomnienie...

— Mameczko! smutno nam będzie bez niego.

— Przecież zapewniałaś przed chwilą... — rozpoczęła matka, i — Co ci jest? drogie dziecię — przerwała niespokojnie, wpatrując się w twarz dziewczęcia. — Helu! ty płaczesz?

— Nic mameczko droga! to tak — jakieś przeczucie...

— Niech nas Bóg chowa od złego...

— Amen — dokończył wchodząc pan Szymon. — No, zbierajcie się! Niech zapalą światło. Pierwszej gwiazdy tylko co nie widać; grzech nie rozpocząć wieczerzy; a Karol może nadjedzie...

Za niedługą chwilę wieczerza była gotową. Do pokoju zeszli się domownicy. Pan Szymon wziął ze stołu opłatek i złamał go z żoną, z córką... Hela zatrzymała ojca...

— Karol! — krzyknęła szczęśliwa, biegnąc na przywitanie mężczyzny, który tylko co wszedł do pokoju.

— Ja, moja droga! — odrzekł Karol, całując rękę narzeczonej.

— Myśleliśmy, że nie przyjedziesz! — wesoło zawołał pan Szymon, ściskając przybyłego. — No, mój panie zięciu życzę ci...

Któż nie zna tych życzeń, i poco je tu powtarzać?...

Opłatek kolejno wszystkich obdarzył życzeniami; najdłużej gościł u Karola i Heli — o! bo też narzeczonym najwięcej zwykł on przyrzekać... Byle dotrzymał tylko!

Polska rodzina zasiadła do wieczerzy. W powietrzu anioł miłości unosił się nad strzechą dworku, i w poczciwe serca leje zgodę i miłość...

I gdzież jest większe szczęście? Oto ci dwoje przeżyli lata poczciwie: na nich nie cięży łza sieroca, ani krzywda; błogosławieństwo biednych okala ich siwiejące głowy, w szczęściu jedynej córki widzą swoją szczęśliwość...

A Hela tak roskosznie uśmiecha się do wybranego jej serca; taka błogość rozlewa się w jej piersi, że dusza dziewczęcia zdobyć się może tylko na hymn podzięki Bogu, że tyle, tyle jej dał szczęścia!

Wieczerza miała się już ku końcowi. Gospodarz wniósł zdrowie domowników; wszyscy z uszanowaniem powstali...

Na podwórzu zaszczekały psy... odgłos dzwonków... ktoś przyjechał...

— A witaj że nam witaj! — zawołał wesoło pan Szymon, zwracając się do przybyłego sąsiada. — Cóż cię od żony w taką chwilę do nas sprowadza?...

Sąsiad zamiast odpowiedzi, podał gospodarzowi ćwiartkę zadrukowanego papieru, który wszystko wytłumaczył.

— Powstanie! — zawołał Karol; a twarz jego okrył rumieniec, i serce żywiej zabiło — Boże! dzięki Ci nieskończone.

Pan Szymon w milczeniu zwiesił głowę ku piersi.

A Hela? — I jej zabiło serce żywiej, i ona szle dzięki Bogu, że przyśpiesza chwilę wyzwolenia; ale rumieniec z twarzy ustąpił; mimowolnie chwyciła rękę Karola, i tak żałośnie patrzy mu w oczy...

— Karolu! — szepcze zcicha, i łza błysnęła w oku.

— Miałam smutne przeczucie...

. . . .

Nie przeczuwajcie dziewczęta niewesołej doli! Ona i tak znajdzie nas w życiu...

Pan Szymon i Karol wiodą z nowoprzybyłym długą na osobności rozmowę. Matka modli się w pokorze; z ócz Heli płyną łzy rzęsiste, i serce boli — boli przeczuciem. Anioł zniszczenia wybrał się w długą podróż na biedną ziemię naszą...

TEATR POLSKI.

Naród pozbawiony samodzielnego bytu politycznego, jeżeli chce zdobyć sobie stanowisko pomiędzy innymi narodami, winien całą swą usilność skierować do rozwoju potęg spoczywających w nim samym. Zadaniem takiego narodu będzie: płodami swego ducha zaważyć na szali ogólnej wartości narodów, ich ceną wkupić się w obywatelstwo narodów, i tem widniejsze zająć wśród nich stanowisko, im bardziej obezwładniono go odjęciem bytu samodzielnego.

Płody ducha narodu głównie będą musiały przejawić się w słowie. Słowo, ten znak widomy wyższości człowieka nad tem, co go otacza, stanie się dla takiego ludu największą świętością, której strzedz i pielęgnować będzie on usilnie; słowo ojczyste będzie dlań skarbem, nad którym czuwać, który przysparzać nie przestanie on nigdy.

Dla nas nie ma świętości, nie ma droższego skarbu nad mowę ojców naszych. Zaniechajmy jej — a natychmiast znikniemy z czci, pożegnamy się nawet z pamięcią ludów o nas; pozwólmy jej pójść w poniewierkę, a bliżsi i dalsi okryją nas szyderstwem i pogardą.

Jeśli imie polskie cześć i poszanowanie znajduje dla się u ludów obcych — winni jesteśmy temu, iż słowo polskie rozniosło sławę imienia Polaka po świecie. Wielcy genjusze narodu stają jako pomniki narodowej chwały; a zarobili na nią czcią głęboką dla rodzinnego słowa, pracą nad jego zwielmożeniem, trudem by go wznieść nad poziom i na ołtarzu czci ustawić.

Skarbem naszym największym i bodaj jedynym na dzisiaj jest mowa ojczysta. Zdobądźmy mądrość świata, zawładnijmy jego skarbami — a jak skoro mowa ojców nas odstąpi, będziemy niczem! bo nam zabraknie ozdoby najcenniejszej, wartości najwyższej. Jak człowiek niemowa wzbudza litość — tak lud bez mowy rodzinnej zasługuje na wzgardę. Nie wart szacunku kto nie szanuje mowy ojców! występnym jest ten, kto się jej zapiera i puszcza w niepamięć.

Skoro tedy mowa jest rzeczą tak wielkiej dla nas wagi, skoro bez niej istnieć jako naród nie możemy — obowiązkiem więc naszym największym jest i pozostanie na zawsze: praca nad rozwojem języka, pielęgnowanie go, cześć w narodzie dla mowy ojczystej, i co za tem idzie: zwrócenie całej uwagi na instytucje głównie pielęgnowaniu języka poświęcone.

Obok pierwszej nauki rodziców, następnie szkół, pisarzy w najrozmaitszych gałęziach, teatr zajmuje ważne bardzo stanowisko jako instytucja, której jednem z pierw

szych zadań jest praca nad rozwojem, a głównie nad utrzymaniem czystości języka. Jeżeli zaś weźmiemy na uwagę, że dla powodów od nas niezależnych na wielu drogach pracy organicznej spotykamy mniej więcej silne zawady, że najwyższe usilowanie nierzadko rozbija się o nieprzełamane gdzieindziej trudności — pozostaje teatr, jako jedyna siła mogąca skutecznie walczyć z przeszkodami stojącemi rozwojowi języka na zawadzie, — jako instytucja wreszcie, która musi te przeszkody zwalczyć, i dać narodowi skarb jego takim, jaki jest dlań pożądanym.

Dowiedzioną jest rzeczą, że teatr jest najlepszą szkołą, bo dającą żywe przykłady cnót, podnoszącą ducha narodu i uczącą go mowy ojców.

Dla nas, pozbawionych wielu rzeczy, teatr jest akademją w najrozleglejszem tego słowa znaczeniu, skarbnicą duchową w której złożone skarby przeszłości, trybuną, kazalnicą narodową — świątynią!... Tak pojmujemy teatr — u nas.

Co nam okaże wielkie postacie przeszłości narodu? co wszakże cnoty i nauczy jak zbrodni strzedz się należy? — teatr. Co wznieci miłość do rzeczy ojczystych? co zapali żądzę naśladowania czynności dobrych a unikania złych? — teatr. Co piękno naszej mowy okaże? co zaznajomi nas z utworami muzy ojczystej? — teatr. Co zdolne jest wywołać cały szereg pracowników na polu narodowych zasług? — teatr. Teatr i wszędzie teatr! bo instytucja ta obejmuje sobą wszystko, streszcza w sobie wszystko, jest wszystkiem — dla nas, którzy wiele rzeczy pochowaliśmy w przeszłości grobie.

Dla tego to im większe znaczenie jest teatru dla nas, tem większa baczność zwróconą nań być winna; tem usilniej wszyscy wedle sił pracować powinniśmy nad jego wzrostem, i strzedz go od upadku.

Z ziem dawniejszą Rzeczpospolitę składających, Galicja jedna cieszy się swobodą pielęgnowania najdroższego nam skarbu — mowy ojców naszych. Nie pozwalają nam tego Prusy, zabrania i temu przeciwdziała Moskwa. Na Galicję więc przypadła wielka a zaszczytna powinność pielęgnowania mowy polskiej — na nas leży obowiązek dbałości o rozwój sceny ojczystej.

Dzięki patrjotyzmowi obywateli stanęły u nas dwa stałe teatra we Lwowie i Krakowie, pierwszy nawet dość zaopatrzony we wszystko.

Zadanie tych teatrów wielkie, bo kiedy z Prus scenę polską wygnano, gdy na Litwie i w Prowincjach zabranych teatr zwinięto, a w Kongresówce zaledwie pozwalają moskale scenie polskiej wieść nędzny żywot — w Galicji teatrowi narodowemu wolno rozwijać się swobodnie, — a więc teatr lwowski może i powinien pielęgnować scenę ojczystą polską.

Zadanie teatru lwowskiego jest wielkie; biada jeżeli nie odpowie mu w zupełności! Na niego zwrócone oczy całego kraju — jemu zdano opiekę nad skarbem narodu, jemu powierzono rozwój narodowej sceny i wszystko co ściśle z tem jest połączone.

Na chlubę tej instytucji przyznać należy, że odpowiedziała ona swemu zadaniu: teatr lwowski jeden przez długie czasy był piastunem mowy polskiej; on głównie wywołał potężne talenta dramatyczne, on postawił scenę polską na równi z najznakomitszemi w Europie; na tej to scenie wystąpiły pierwszorzędne talenta dramatyczne: Benza, Smochowski, Nowakowski, Aszpergerowa i inni; teatr lwowski był dla nas szkołą życia i obyczajów narodowych; on w widzach wzniecał miłość do rzeczy swojskich, obudzał zamiłowanie piękna; on rozniósł sławę imienia polskiego szeroko po świecie. Słowem: wielkie są zasługi teatru lwowskiego — w przeszłości. Ale jaką jest dzisiaj ta instytucja? czy odpowiada warunkom swego istnienia? czy poszła krokiem naprzód, lub czy dorównywa przynajmniej temu, co dawniej miało miejsce?... o tem zamierzamy powiedzieć słów kilka.

Po zasłużonych scenie ojczystej dyrektorach Smochowskim i Nowakowskim, objął scenę lwowską pan Miłaszewski, dyrektor teatru Krakowskiego. Jakim sposobem przyszło do oddania sceny nowemu dyrektorowi, sceny zajmującej tak ważne stanowisko? — zostawiamy to na boku; konstatując fakt sam wyznać musimy, iż krok to był bardzo nieoględny, czynność która mogła za sobą pociągnąć tylko zgubne owoce dla rozwoju sceny.

Że pan Miłaszewski, nie obliczywszy się z siłami, przystąpił do kierownictwa sceną jedyną w Polsce, ze względu na jej wyjątkowe położenie — nie dziwimy się wcale: tak czynią ludzie, nie mający zeznania własnych sił, i wypływa to wreszcie z natury ludzkiej, z przykładów codziennego życia; ale że ludzie mający moc potemu oddali ster narodowej sceny w ręce człowieka, za którym nic nie przemawiało, że prowadzić ją potrafi — dla tych ludzi nie mamy słów usprawiedliwienia, i takimi ich widzimy teraz, za jakich mieć ich będzie historja.

Ważność stanowiska teatru lwowskiego tajną im nie była, wiedzieli czego po nim kraj spodziewać się ma prawo, co on uczynić powinien — i bez wahania się ster tej instytucji powierzyli człowiekowi, za którym nic nie przemawiało, że podoła przyjmowanym na się obowiązkom.

Jeżeli tego nie dość, że kandydat nie posiadał wyższego ukształcenia, które nabywa się w uniwersytetach i akademjach, że nie był pracownikiem na polu literatury; jeżeli było nie dość, iż nie należał on do pierwszorzędnych znakomitości scenicznych — to nieporadne jego gospodarstwo w teatrze Krakowskim dostatecznie powinno było przekonać ludzi, od których powierzenie dyrekcji teatru zależało, że jej powierzać p. Miłaszewskiemu nie należy.

Fakt jednakże stał się; można było przy dobrej woli mniemać, że nowy dyrektor jeżeli nie z samego siebie, to z zewnątrz, może, zaczerpnie siły potrzebne do przewodniczenia scenie pierwszej w Polsce — tej samej, którą wiódł Kamiński, z której świeżo ustąpiły talenta znakomite.

Nie powierzono kierownictwa sceny ludziom odpowiednio uzdolnionym; nie powołano na dyrektorów Królikowskiego i Rychtera, artystów z Warszawy, którzy niezaprzeczone mieli prawo do dyrekcji i zapewne by ją przyjęli — oddano kierunek teatru w ręce p. Miłaszewskiego; stał się fakt... zgodzić się z nim należało.

Nie zapoznajemy najlepszych chęci dyrektora. Jego odezwa, którą wydał przy objęciu dyrekcji, tchnie prawdziwym patrjotyzmem, zawiera w sobie wiele objetnic, które dotrzymać nowy dyrektor przyrzekł. Tem bardziej uwierzyliśmy w dobre chęci p. Miłaszewskiego, gdy do

browolnie zrzekł się on przewodniczenia teatrowi Krakowskiemu, nie będąc w stanie podołać dwom naraz teatrom.

Czwarty to rok już jak scenie naszej przewodniczy p. Miłaszewski. Mamy więc zupełne prawo zarządać od niego rachunków z gospodarzenia dobrem narodu, mamy prawo policzyć się z dzierżawcą.

Objęcie dyrekcji teatru Lwowskiego przez p. Miłaszewskiego natrafiło od pierwszej chwili na tak gwałtowną opozycję prasy perjodycznej; każda zdrożna czynność dyrekcji była tak niemiłosiernie podnoszoną i chłostaną, że wyrodziło się w kraju przekonanie, iż osobista niechęć stanęła do walki z dyrektorem, że przeoczając zasługi, prasa niesłusznie uderza na czynności dyrekcji. Przekonanie to jeszcze dziś znajduje swój odgłos, a p. Miłaszewski chętnie tem się zasłania przeciwko napadom na jego działalność dyrektorską. Nie chcąc być zaliczonymi do kategorji krytyków z osobistości, oświadczamy, że nie żadna niechęć, nie uprzedzenie kieruje naszem piórem, ale chęć zbadania prawdy, uczynienie zadość słuszności, drogą sprawiedliwego ocenienia czynności dyrekcji. Nie chodzi nam o p. Miłaszewskiego, przeciwko któremu jako człowiekowi nie mamy nic wcale; ale mamy na uwadze instytucję, której on przewodniczy; poddajemy go sądowi publicznemu w charakterze przewódzcy tej instytucji — mówimy o p. Miłaszewskim jako o człowieku publicznym.

W odezwie swojej przyrzekł nowy dyrektor: postawić scenę na stanowisku, które ona zająć powinna (a więc którego dotychczas nie zajmowała; była to zatem obietnica czegoś więcej, aniżeli co zastał dyrektor) i założyć szkołę dramatyczną; — rzeczy które gdyby przeprowadził w życie — p. Miłaszewski przeszedłby do potomności, imie swe okrywszy sławą Bogusławskich i Kamińskich. Zaiste! zadanie nie łatwe postawić scenę na takiem stanowisku, które ona w naszym kraju zająć powinna; nie mała zasługa, gdyby założoną została szkoła dramatyczna, szkoła mająca dać naszej scenie artystów, nie jak dziś: rozbitków życia, częstokroć niegodnych służby ołtarza, którą pełnią w świątyni sztuki.

Ubiegło lat trzy — o szkole dramatycznej nie wiemy nic zgoła! Trudności wielkie... środki dyrekcji nie takie, by można było pomyśleć o utworzeniu szkoły... Zbytnia gorliwość podyktowała w odezwie słowa, z których donioslością nie obliczył się podpisany... Nie ma mowy o szkole teoretycznej! Ale może p. Miłaszewski pomyślał o praktycznem wykształceniu młodych dyletantów sztuki dramatycznej? może starał się pozyskać dla teatru siły młodsze, siły zekrutowane pomiędzy ludźmi nauki, nie takimi, którzy w teatrze szukają łatwiejszego chleba i życia nie krępowanego jak gdzieindziej... Niestety! znamy fakta wprost przeciwne, gdzie garnących się do sceny zrażano, a innym zamiast nauki dawano przykłady niezupełnie budujące, przykłady które zaprawdę nie mogły zachęcić do poświęcenia się u nas sztuce dramatycznej ludzi mających głębsze pojmowanie rzeczy, umiejących cenić godność osobistą.

Na tej drodze p. Miłaszewski pozwolił się wyprzedzić o wiele młodszemu od siebie koledze p. Sztenglowi, który odrazu zgromadził w swym teatrze ludzi wykształconych, których towarzystwo zadawala p o d k a ż d y m w z g l ę d e m najsurowsze wymagania; który w rzeczy samej stworzył praktyczną szkołę dramatyczną, i dzięki jemu, mamy tę szkołę dziś w kraju. P. Sztengel nie obiecywał i dał — p. Miłaszewski na obietnicy poprzestał.

Ale przejdźmy do szczegółów dalszych.

Jakim jest teatr nasz obecnie pod względem doboru sił dramatycznych? jaki jest jego repertoarz? co uczyniła dyrekcja, by przysporzyć scenie nowe talenta pisarskie?

Że nie mamy Królikowskiego i Rychtera — to nie dyrekcji wina, jakkolwiek co do ostatniego moglibyśmy zanotować parę szczegółów; że pani R a k i e w i c z o w a nie została angażowaną, i w skutek tego nie mamy aktorki do ról zajmowanych dawniej przez panią Aszpergerową — z tego tłumaczył się już podobno p. Miłaszewski; i coby się w tej mierze nie dało powiedzieć na jego usprawiedliwienie przekonani jesteśmy, że pani R. mogła być zaangażowaną, a zatem zaangażować ją należało. Że w swoim czasie nie angażował pan Miłaszewski pani L a s k o w s k i e j i pani T r z e c i a k, pomimo rad dzienników kompetentnych w tej mierze — to znowu pozostanie jako wina dyrekcji, tem większa, że gdy tamte talenta nie były dlań pożądanymi, to trzyletni przeciąg czasu wystarczał, ażeby scenę obdarzyć artystką własnego wyboru; a nie chcemy podejrzewać, by dyrektor w żonie swojej widział ten pożądany dla nas talent, która zresztą bardzo rzadko tylko występuje na scenie...

Że pan Miłaszewski wydalił ze sceny pana K a l i c i ń s k i e g o, którego chociaż zastąpił panem Szymańskim, pomimo to jednak pozbawił scenę artysty, mającego swe role znakomite, wziętość publiczności i wieloletnie na scenie zasługi... nie wiele znajdzie on przyczyn, któreby krok ten jego usprawiedliwiły. Pan Miłaszewski następnie pozbawił naszej sceny talentów wiele obiecujących w osobach pana R a p a c k i e g o i panny Ł a d n o w s k i e j (Wolskiej) którzy obecnie są ozdobą teatru krakowskiego; pan Miłaszewski przez przeciąg lat trzech nie uznał potrzeby zaangażowania artysty do c h a r a k t e r ó w c z a r n y c h, w skutek czego wiele rzeczy cennych niepodobna przedstawić na scenie, bez narażenia się na śmieszność; nie pomyślał o zaangażowaniu artystki do ról salonowych matek, i rolami temi niewłaściwie obarcza panią Hubertowę; nie zaangażował nikogo do ról salonowych, w skutek czego książęta na naszej scenie i szlachetni kawalerowie przypominają fornalów, a panie salonowe conajmniej — garderobiane. P. Miłaszewski oddalił ze sceny pana H u b e r t a, ale na jego miejsce nowej nam siły nie dał; pan Miłaszewski wiele zwykł mówić o artyście do ról bohaterów i pierwszych kochanków; ale go podawnemu u nas nie widzimy; pan Miłaszewski po ustąpieniu panny W e n c l ó w n e j nie znalazł artystki, którąby jej role objęła, a pomimo dowodowodnie okazaną zdolność do niektórych z takich ról w pani Nowakowskiej — nie tylko, że rozwojowi jej talentu w tym kierunku nie dopomógł, ale owszem stawiał możliwe przeszkody, które omal nie spowodowały całkowitego usunięcia się jej ze sceny.

Zestawiając to wszystko, cośmy powiedzieli, widzimy, że personal nasz sceniczny wiele zostawia do życzenia, a w każdym razie dalekim on jest od tego, jakim być po-

winien gdyby postawiono scenę na stanowisku, które ona zająć powinna.

Notując uchybienia, nie chcemy przeoczać zasług dyrekcji; lecz z żalem wyznać nam przychodzi, że mało bardzo pod tym względem mamy do zawdzięczenia panu Miłaszewskiemu. — Jeżeli pana Szymańskiego uważać mamy jako wynagrodzenie za pana Kalicińskiego, tedy pozostaje tylko pan Królikowski, którego pozyskanie dla naszej sceny, chętnie liczymy do zasług dyrekcji; ale też to i wszystko! wątpimy bowiem, by przyszłość panien: Popielównej, Góreckiej i Bieńkowskiej, która jaką będzie? nie wiemy — by tę ich przyszłość chciał pan Miłaszewski liczyć na karb własnej zasługi...

Przejdźmy teraz do rozpatrzenia się: jakiego rodzaju jest repertoarz teatru od chwili, gdy przeszedł on pod kierownictwo pana Miłaszewskiego. (D. n.)

Rozmaitości.

†

Artur Grotger genjalny rysownik polski, umarł we Francji, w kwiecie wieku i w chwili kiedy talent jego dobiegał ostatnich krańców rozwoju. Polska ponosi w zmarłym bolesną stratę.

Cześć jego pamięci!

— Dla ułatwienia prenumeraty, wydawnictwo „Nowin“ urządziło ajencje w znaczniejszych miastach Galicji, za pośrednictwem których można odbierać nasze pismo.

Ajencje urządzono: w Krakowie w księgarni J. Czecha w rynku; w Tarnowie w drukarni i antykwarni A. Rusinowskiego; w Nowym Sączu w drukarni Józefa Pisza; w Wadowicach w księgarni F. Foltina; w Rzeszowie w księgarni Pellara; w Tarnopolu w księgarni Csillika; w Brzeżanach w handlu E. Merla; w Kołomyi w księgarni Zadembskiego; w Czerniowcach i Suczawie w księgarni Szęgierskiego.

Na Wielkie Księstwo Poznańskie i Prusy księgarnia M. Leitgebra w Poznaniu.

We wszystkich tych ajencjach można prenumerować i odbierać „Nowiny.“

— Pan Bohdan Zaleski, w liście swym do nas pisanym, prosi byśmy wpłynęli na Redakcje pism krajowych, ażeby takowe bezpłatnie zasilały niemi ubogie w środki zakłady naukowe na emigracji. Mniemamy, że żadne z pism polskich nie odmówiło by przesłania numerów, gdyby to za sobą nie pociągało znacznych kosztów opłaty przesyłki. Roczna przesyłka naprzykład „Nowin“ do Paryża, przechodzi połowę ceny samego pisma; jeżeli zaś weźmiemy na uwagę, że pragnęlibyśmy nie jednemu zakładowi ofiarować pismo nasze bezpłatnie — wypadnie dość znaczna kwota, której pokrycie wymaga zasobów, jakowych nie mamy. Otoż zdaniem naszem rzeczy te pogodzić by się dały w ten sposób, że my w kraju ofiarujemy zakładom emigracyjnym pisma nasze bezpłatnie, a one niechaj się podejmą opłaty przesyłki pocztowej.

— Pierwszy zeszyt „Strzechy“ jest już w ręku czytelników. Treść podaliśmy dawniej. Dowiadujemy się, że „Strzecha“ ma zamienić się na pismo ilustrowane tygodniowe, drukować się zaś będzie w Cieszynie, gdyż Lwów nie posiada drukarni, któraby należycie odbijała drzeworyty(?) Zaiste była by to smutna okoliczność, gdyby od stolicy wyżej pod tym względem stał — Cieszyn.

— Kto raz słyszał śpiew szczerze moskiewski, musiał doświadczyć nie wymownie przykrego uczucia. Pieśń moskiewska — to jęk niewolnika przykutego do miejsca łańcuchem, człowieka który utracił wszelką moc ducha i już nieświadomy nawet swych boleści, jękiem tylko daje świadectwo życia. A jednak Czesi, mający pretensję do znawstwa muzykalnego, w organie swym Narodni Listy, pod nieba wynosząc muzykę moskiewską utrzymują, że nad pieśni Moskali nie ma nic piękniejszego! Do jakiego stopnia niedorzeczności może dojść naród dla celów politycznych wmawiający w siebie miłość dla Moskali, którymi wczoraj jeszcze brzydził się jako azjatyckimi barbarzyńcami. W Pradze wiele hałasu narobiono, że policja nie pozwoliła dać koncertu pewnemu moskalowi; dziś gdy koncert ten miał już miejsce Prażanie mieli sposobność przekonać się, że artyści moskiewscy nie ustępują w dobroci ich liberałom, a „Narodni Listy“ rozwodzą swe żale, że publiczność nie zapełniła sali koncertowej!... Biedny narodzie! kiedyż przestaną cię wieść do zguby twoi przewódzcy!...

— W Wiedniu popisuje się teraz Towarzystwo szwedzkich śpiewaków, zachwycając wiedeńczyków narodowemi śpiewami.

— Mikołaj Dreyse, wynalazca morderczych iglicówek rozstał się z tym światem. Rzecz ciekawa czy Prusy wystawią pomnik sprawcy swojej wielkości!...

— Kiedy niekiedy dochodzą nas książki polskie nowo wydane w Prowincjach zabranych; do podanych już dawniej w Nowinach należy świeżo ogłoszona drukiem w Żytomierzu książka wierszów pana Adolfa Mostowskiego p. t. Dwa węzły.

— Dla Moskali nie dość było paść swoje oczy widokiem szubienic; nie dość było ciskać kamieniami na pędzonych do kopalń patrjotów polskich; nie dość najwymyślniejszych potwarzy, kłamstw na które tylko ten niewolniczy naród zdobyć się może — jeszcze postanowili zohydzać imię Polski na scenie. W tym celu moskiewski autor Samarin napisał sztukę p. t. Samozwaniec Łuba, składającą się z potwarzy i klątw przeciw Polsce i Polakom. Tryumfuj wielki (!) narodzie, aż się przebierze miara!...

— Jakie postępy robi oświata ludu we Francji, możemy powziąć wyobrażenie z tego, że w roku 1846 nie było szkół w 3 213 gminach; dziś takich gmin jest tytko 650. W ostatnich 20 latach liczba szkół powiększyła się o 12.113, uczniów zaś przybyło 1,069.044.

— Pan Hausmann, sławny prefekt Paryża postanowił znieść cmentarze w tem mieście. Nie idzie zatem, że nikt umierać nie będzie w stolicy świata, bo to podobałoby się nie jednemu; ale po prostu nieboszczyków mają transportować koleją o mil 20 do departementu Méry-sur-Oise, gdzie już są dla nich zakupione grunta. Osobna kolej żelazna i stosowne pociągi mają być urządzonemi dla nieboszczyków. Zrobi się wszystko, byle tylko pozbyć się ich przytomności w Paryżu... Ciekawa rzecz co na to powiedzą mieszkańcy innego świata! Zapewne nie miłą będzie dla nich wola pana Prefekta. Ktoś co całe życie nie wyjeżdżał z Paryża, po śmierci będzie zmuszonym mieszkać w prowincji!... To się nie każdemu podoba!

Korespondent jednego z pism Warszawskich potępiając projekt p. H. tak o tem mówi:

Przedsięwzięcie wydaje nam się głęboko demoralizujące. Przy tem, śmieszność do żałoby wmięszana fatalnie.

Wyobraźcie sobie ten dworzec pośmiertny, ten tartas pociągów zastosowany do publicznej żałoby! Istota którąś kochał, którą płaczesz serdecznemi łzami, staje się poprostu pakunkiem ważącym razem z trumną 110 kilogramów. Ty szlochasz — a tu ktoś wrzeszczy:

— *Ou diable est passé le colis Nr. 33?*

Paka 33, to ona, to on... Straszna rzecz!

Inna strona oburzająca obiecanego przeniesienia cmentarzy. Chociaż uważni, urzędnicy kolei nie są nieomylni. Zdarzy się nieraz, że przylepią inny numer na trumnie — i tym sposobem rodziny chodzić będą nie za swojem ciałem... Romeo mniemając rzucać kwiaty na grób Julietty, zasieje nimi zwłoki byłego tamburmażora...

Co najgorszego w tym projekcie, to wprowadzenie komiki do sanktuarjum. A jak się zdarzy wypadek na tej drodze żelaznej? Oto nie trudno. Wyobrazić sobie można ten karambol żywych z umarłymi... ten łoskot pękających kości i rozwierających się trumien... Nie opisuję więcej — wyobraźnia wasza obraz dokończy...

Nie na tem koniec. Procesja pogrzebowa strawiwszy tak siedm godzin na wolnem powietrzu, rachując stacje i kościoły, znajdzie się w końcu na cmentarzu z potężnym apetytem. Spekulacja przewidująca wszystko, i to pewno przewidzi. Pobudują obok cmentarza restauracje dla karawanowych gości, i zapraszać będą na wszystkie strony. Mało kto się oprze propozycji. I dalejże pić przy stole na pamiątkę tego poczciwego pana Pawła czy Gawła — butelkę jednę, drugą i trzecią... A wieczorem, w pociągu obok czarnej rozpaczy, jakiś głos pijacki zaśpiewa pewno piosnkę rynsztokową *Bottes de Bastien* albo *Mère Godichon*...

— Za dobrym przykładem stolicy i miasta na prowincji urządzają wykłady popularne. Tak: donoszą nam, że w Stanisławowie profesor gimnazjum Hugo Zathey 15. b. m. wykładał z literatury polskiej: „O ruchu umysłowym od trzeciego rozbioru Polski aż do Mickiewicza.“

Współudział w dalszych odczytach przyrzekli pp. Krechowiecki, Skwarczyński, Ławrowski, Mróczkowski i Tutak.

Życzyć należy, ażeby i inne miasta na prowincji wstąpiły w ślady Stanisławowa.

— Gwałtowna burza. Dnia 29. października panowała na oceanie Atlantyckim koło wybrzeża Ameryki środkowej tak gwałtowna burza, że donoszono nawet o zapadnięciu jednej wyspy w morze. Wiadomość ta okazała się mylną — niemniej przeto spustoszenia orkanu są straszliwe. I tak około wyspy św. Tomasza rzucił wicher kilka okrętów na skały; 80 statków stojących w porcie wiele ucierpiało, a niektóre zatonęły, przyczem wiele osób straciło życie. Niemniej srożyła się burza na wyspie. Od godziny 1. do 4. po południu huczał orkan, zalewając ziemię strumieniami deszczu, światło dzienne ustąpiło ciemnościom, a grunt drżał wulkanicznem trzęsieniem. Burza zrywała całe domy i niosła daleko. Wicher przerzucił całą salę do ogrodu, nie rozbiwszy szklanek i lamp; w innem miejscu znów znaleziono, na stosie zdruzgotanego drzewa, kotwicę, kilka kół powozowych, fortepian i kawałki marmuru.

— Nierozważny zakład. Parę tygodni temu w Berlinie pięciu młodych mężczyzn zrobiło zakład niespania 7 dni i nocy. Pierwszą noc przetrwano dość swobodnie: w dzień jeżdżono, strzelano i co pół godziny pito czarną kawę; drugą noc tak samo spędzono w wesołem towarzystwie, i tak szło dzień po dniu; dwóch zasnęło po 130 godzinnem czuwaniu, jeden zasnąwszy na koniu spadł i złamał rękę, a tylko ostatni wygrał zakład, utracił atoli 25 funtów wagi.

— Dziwne zjawisko natury odkryto w Ameryce północnej, w pobliżu pasma gór Kordilierów. Jestto jezioro słonej wody, która ustawicznie wre i kipi tak, iż kawałek mięsa w przeciągu 40 minut jest w niem zupełnie ugotowany.

— W dniu stracenia Fenjanów dziennik Manchester Guardian sprzedał 320.000 numerów. Przykładu podobnej sprzedaży nie widzimy w historji dziennikarstwa.

— (Zajmująca historyjka.) Pewien przemysłowiec, który posiadał w wysokim stopniu wydoskonalony talent robienia długów, a oraz i własność bycia niewidomym dla swych wierzycieli, stał się w interesujący sposób ofiarą swego wyznania politycznego. Wierzyciel, któren długo szukał swego dłużnika, był niespodzianie zaproszony do podpisania adresu, przemawiającego za utrzymaniem konkordatu. Przez ciekawość przegląda listę podpisów, i co za radość! znajduje dokładny adres swego dłużnika. Przez samą wdzięczność podpisał adres, jakkolwiek był innego zdania.

— W Nowym Jorku wyrabiają obecnie kapelusze papierowe dla pań. Po zrobieniu formy papierowej pociąga się ją woskiem hiszpańskim, osypuje następnie strzyżoną wełną — i tym sposobem otrzymują piękny zupełnie do pelściowego podobny kapelusz — za cenę naszych 20 kr.

— Komedjopisarzom francuzkim już braknie konceptu: jak zainteresować publiczność; wrócili więc do praktykowanej sztuczki, że aktorom na scenie odpowiadają inni aktorowie umieszczeni pomiędzy publicznością. Zdarzyło się świeżo w Paryżu, że jeden z takich pomiędzy publicznością grających aktorów, przebrany za wyrobnika szedł do loży, z której miał odpowiadać aktorom na scenie; ale policjant stojący na straży, nie wtajemniczony w szczegóły przedstawienia, najgorcej zaprotestował przeciwko wejściu obszarpańca do loży, i mocą nadanej mu władzy, przytrzymał aktora. Próżno biedaczysko tłumaczy się, grozi, prosi — policjant nie ugięty. Przedstawienie na scenie urywa się dla braku wątku; publiczność gorszy się przerwą; następuje poruszenie, krzyk, gwizdanie... po dobrym dopiero kwadransie, aktor wyrwany z rąk policjanta wchodzi do loży, i oczywiście bez humoru gra już swą rolę, co w połączeniu z przerwą spowodowuje upadek sztuki, którą mimo to będą zapewne przedstawiać jeszcze ze 100 razy, a może wypadek z aktorem posłuży komedjopisarzowi do nowej jakiej farsy!...

— Statystyka dziennikarstwa. Cyfry przedstawiające stopień rozwoju piśmiennictwa perjodycznego na kuli ziemskiej są bardzo wymowne, jak to się pokazuje z następujących danych statystycznych. Wszystkich gazet i dzienników wydanych w roku zeszłym pod rozmaitemi tytułami było do 12.500. Z tego na Europę przypada 7000, na Amerykę 5000, na Azją, Afrykę i Australją 500. Jeżeli weźmiemy, iż każde z tych pism w średniem przecięciu wychodziło cztery razy w tygodniu, to (codziennie) drukarnie wydałyby na świat boży 3000 pism perjodycznych. Licząc zaś, iż przeciędowo każdy dziennik lub gazeta drukuje się w 2000 egzemplarzach (amerykanie uważają to za minimum egzystencji) i w objętości dwuarkuszowej, statystyk amerykański wyprowadza wniosek, że ludzkość codziennie, dla zaspokojenia ciekawości potrzebuje 12,000.000 arkuszy drukowego papieru! Z tej liczby gazet i pism na Francją (cyfry wyjęte ze sprawozdania ministra spraw wewnętrznych za rok 1866) przypadało 304 pism politycznych. Z nich 94 wychodziło w Paryżu, a 210 w różnych departamentach Cyfra perjodycznego piśmiennictwa w programat którego nie wchodzą sprawy polityczne, znacznie większa. W Paryżu w roku zeszłym wychodziło ich 710 a w departamentach 725.

— (Teatr.) Sceniczne gospodarstwo pana Miłaszewskiego doprowadziło nasz teatr do tego, iż mamy obecnie tylko jedną kobietę rzeczywistą artystkę p. Nowakowskę; toż ile razy przychodzi nam mówić o jej wystąpieniu w roli stosownej czynimy to z największą przyjemnością. Widziałyście panie „Iskrę“ ten utwor tak szczególny, że należałoby go potępić — gdyby się kochać nie kazał... zarzucić — gdyby tak nie lgnął do serca, zachwycając uroczem tłem poezji!

Jeżeli długie dyalogi zamiast nużyć zachwycają, jak w *Iskrze*, dowód to talentu autora; nie mniej jednak wielką zasługę przypisać należy artystom, którzy potrafią obudzić taki interes, że długiej ich rozmowy słuchamy z największą przyjemnością. To też trzeba widzieć panią Nowakowskę w trzecim akcie *Iskry!* Ta kobiecość zdradzająca się pod wpływem magnetycznym słów i wejrzenia towarzysza; przejście z siły charakteru pozornie chłopięcego w tak powabną niesiłę kobiecą; pociąg mimowolny, nieświadomy, kiedy usta *Iskry* zbliżają się do pocałunku kochanka... tu p. Nowakowska jest niezrównaną, i dla gry jej dość pochwał nie znajdujemy.

Przedstawienie *Iskry* należy do najlepszych — a to dzięki p. Nowakowskiej; jakkolwiek nie możemy odmówić uznania grze p. Szymańskiego, którego talent deklamacyjny w całej tu występuje sile, i niemal w zupełności dorównywa mistrzowskiej grze naszej ulubionej artystki.

W dniu w którym nasz dziennik prasę opuści, p. Nowakowska, mniemamy, jeden jeszcze złoży dowód, iż talent jej jest nie pośledni; gdyż w Piątek występuje artystka w roli *Marji Stuart* w dramacie tegoż nazwiska Szyllera. Nie wątpimy, że publiczność licznie pospieszy do teatru, o ile, że jest to benefis p. Lecha Nowakowskiego.

— Oświadczenie. „Dziennik literacki“ i „Strzecha“ zamieściły wiadomość, że pismo zbiorowe „Sioło,“ którego byłem wydawcą, upadło. Ponieważ mylna ta wiadomość szkodzi mojej nakładowej firmie, proszę zatem pomienione pisma, ażeby wiadomość o „Siole“ sprostowały o tyle, że pismo to, jak było zapowiedzianem w prospekcie, wyszło w czterech dwunastoarkuszowych zeszytach, że zatem wydawca uczynił zadość zobowiązaniu się w obec czytającej publiczności.

Kornel Piller, wydawca „Sioła.“

Korespondencja Redakcji.

Pani M. Bielska w Tyrawie Wołoskiej. Czyniąc zadość życzeniu Pani wyrażonemu w liście, posyłamy „Nowiny“ pod Jej adresem; nie pojmujemy za tem dla czego zwrócono nam numera z nadmienieniem, że adresantki nie ma w Tyrawie. Z dalszą ekspedycją numerów wstrzymujemy się do ponownego listu Pani.

Dodatek: kolorowana rycina mód do Nr. 7., tablica wzorów do Nr. 8. i listy zwrotne.

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller. Druk Kornela Pillera.